

Michał J. Chmielewski

złe

Michał Jan Chmielewski

Złe



ZŁE

Copyright © Michał J. Chmielewski

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2016 r.

druk ISBN 978-83-7995-080-5

epub ISBN 978-83-7995-081-2

mobi ISBN 978-83-7995-082-9

Redakcja: Małgorzata Holender

Korekta: dr Marta Kładź-Kocot

Projekt i skład okładki: Paweł Dobkowski

Skład i typografia: Studio Grafpa, www.grafpa.pl

Redaktor naczelny: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Podmiejska 13 box 27

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

**Książka dostępna w księgarni: www.MadBooks.pl,
www.eBook.MadBooks.pl i eBooks4U.pl**

pamięci Ryszarda Łyszyka

Spis treści

I

1. Kryspin Jasiński	13
2. Justyna Jasińska	16
3. Andrzej Jasiński	20
4. Marcin Witczak	25
5. Tomasz Lange	34
6. Iwona Jasińska	42
7. Kryspin Jasiński	46
8. Justyna Jasińska	53
9. Andrzej Jasiński	61
10. Marcin Witczak	66
11. Tomasz Lange	74
12. Iwona Jasińska	82
13. Kryspin Jasiński	86
14. Justyna Jasińska	92
15. Andrzej Jasiński	96
16. Marcin Witczak	98
17. Tomasz Lange	103
18. Iwona Jasińska	107
19. Kryspin Jasiński	109
20. Justyna Jasińska	112
21. Marcin Witczak	117
22. Tomasz Lange	120
23. Iwona Jasińska	124

24.	Kryspin Jasiński	127
25.	Justyna Jasińska	130
26.	Marcin Witczak	132
27.	Tomasz Lange	133
28.	Iwona Jasińska	137
29.	Justyna Jasińska	139
30.	Marcin Witczak	141
31.	Kryspin Jasiński	142
32.	Andrzej Jasiński	143

II

1.	Marcin Witczak	149
2.	Kryspin Jasiński	155
3.	Justyna Jasińska	159
4.	Tomasz Lange	161
5.	Marcin Witczak	166
6.	Iwona Jasińska	169
7.	Justyna Jasińska	171
8.	Tomasz Lange	173
9.	Marcin Witczak	178
10.	Iwona Jasińska	180
11.	Tomasz Lange	183
12.	Kryspin Jasiński	186
13.	Tomasz Lange	190
14.	Andrzej Jasiński	193
15.	Baskin	203

III

1. Krzysztof Lewicki	206
2. Justyna Jasińska	211
3. Marcin Witczak	213
4. Tomasz Lange	215
5. Iwona Jasińska	217
6. Kryspin Jasiński	221
7. Marcin Witczak	224
8. Tomasz Lange	227
9. Andrzej Jasiński	234
10. Justyna Jasińska	236
11. Tomasz Lange	237
12. Marcin Witczak	241
13. Kryspin Jasiński	242
14. Tomasz Lange	245
15. Marcin i Justyna	248
16. Andrzej Jasiński	251
17. Marcin i Justyna	252
18. Iwona Jasińska	255
19. Marcin i Justyna	256
20. Krzysztof Lewicki	261
21. Kryspin Jasiński	263
22. Marcin i Justyna	264
23. Kryspin Jasiński	267
24. Andrzej Jasiński	272
25. Marcin i Justyna	275
26. Kryspin Jasiński	278
27. Marcin i Justyna	281
28. Andrzej Jasiński	283
29. Andrzej Jasiński	284

IV

1. Piotr Majchrzak 290
2. Justyna Jasińska 292
3. Kryspin Jasiński 294

I

Kryspin Jasiński

Pierwsze uderzenie zawsze brzmiało najgorzej. Nie było w nim nic z amerykańskich filmów, żadnego efektownego dźwięku, tylko głuche łupnięcie pięści w twarz i następujący po tym krzyk matki.

Potem padały kolejne ciosy. Słyszał je wszystkie. Potem matka groziła i prosiła, by ojciec przestał ją bić. Odgłosy szarpaniny, zbity talerz, upadające na podłogę w kuchni sztucce. W tle tego wszystkiego płacz młodszego brata. Chciał zbiec na dół, zeskoczyć ze schodów, na których siedział, dopaść ojca, sprowadzić go do parteru i poniżyć, pogrozić, że następnym razem, jeżeli jeszcze raz tknie w ten sposób mamę, połamie mu rękę.

Kryspin Jasiński wiedział, że nigdy do tego nie dojdzie. Miał dwanaście lat, siedział na szczycie schodów obejmując kolana, bał się i prosił w duchu, żeby to się skończyło. Niech ojciec się zmęczy, znudzi, cokolwiek, niech pójdzie do salonu, by tam usnąć przed telewizorem jak zazwyczaj, albo do piwnicy, gdzie śmierdziało tym świństwem, które robił z wujkiem.

– Zostaw! Zostaw! – słyszał głos matki. Następnie bach, ponowne uderzenie.

Młodszy brat płakał coraz głośniej. Kryspin zastanawiał się, jakim cudem jego gardło nie jest jeszcze zupełnie zdarte. Bo Michał zawsze płakał, gdy ojciec używał rąk.

– Nie bij go... tylko nie jego... – powiedział cicho, z nadzieją, zaciskając kolana.

– A ty, kurwa, się zamknij! – wrzasnął ojciec. Chwilę potem płacz zgasł.

Pomimo nieśmiałej myśli, podpowiadającej, by zejść na dół, wciąż siedział nieruchomo.

Szarpanina trwała dalej i choć Kryspin zdążył przywyknąć, za każdym razem bał się o to samo – o mamę i brata Michała, zwłaszcza o niego, bo miał przecież tylko trzy lata. Wcześniej bał się też o siostrę, ale ona nauczyła się unikać tych sytuacji. Potrafiła zniknąć na cały dzień. Na samym końcu bał się o siebie.

Powinien już być w drodze do szkoły, jednak postanowił trwać na schodach do czasu, aż pijacki sztorm ojca minie. Zachowywał w ten sposób pozory trzymania ręki na pulsie. Gdyby ojciec rzucił się na Michała, miałby przynajmniej szansę jakoś zareagować. Nie działałby wiele, jasne, ale nie wybaczyłyby sobie nigdy, gdyby pod jego nieobecność bratu stało się coś złego.

Odgłosy szarpania trwały. Matka krzyczała.

– Zostaw! Andrzej, zos...

Kolejny cios, tym razem uciszający matkę na dobre. Pewnie dostała prosto w zęby.

– Żebyś we własnym domu musiał się prosić o pieniądze, kurwa twoja mać!

Odgłos ciężkich stóp przesunął się tuż pod Kryspinem. Szelest ubrań, wsuwanie roboczych butów na nogi i trzaśnięcie drzwiami w chwilę potem. Ojciec wyszedł.

Mięśnie Kryspina, napięte jak cumy, rozluźniały się. Wziął głęboki oddech i zszedł na dół, zastając dokładnie to, czego się spodziewał. W kuchni na podłodze leżały resztki rozbitego talerza, na kuchence przewrócony garnek, kilka sztućców na podłodze. Szafka z przyprawami otwarta była na oścież – pewnie właśnie tam mama trzymała pieniądze. Ona sama siedziała teraz przy stole, do policzka przykładając nóż, starając się w ten sposób zapobiec spuchnięciu. Michał kucnął na podłodze, wtulając się w jej nogę. Pochlipywał.

– Idź do szkoły – powiedziała do Kryspina. Zaskoczył ją jego widok. – Myślałam, że już poszedłeś.

Nie – pomyślał. – To poszła Justyna. Ja zostałem.

Michał trzymał łydkę mamy, jakby od tego zależało jego życie, zasmarkany, nie rozumiejąc, dlaczego tata ją bije. Przecież nie zrobiła nic złego.

Kryspin z trudem oderwał wzrok od brata. Wrażenie, że coś rozrywa mu serce, nie opuszczało go przez całą drogę do szkoły.

2.

Justyna Jasińska

Justyna Jasińska wiedziała, że nie powinna tego robić. Przemawiał za tym jeden niepodważalny argument, ale teraz, gdy rzuciła się na plecy Rafała Tomaszewskiego, jednocześnie starając się wydrapać mu oczy, było już za późno.

Zaczęło się na szkolnym korytarzu. Rozmawiała z koleżankami z klasy, kiedy dostała w ramię papierową kulka.

– Wal się, rudzielcu! – krzyknęła dostatecznie głośno, by zwrócić na siebie uwagę innych uczniów.

Tomaszewski, stojąc w asyście swoich kumpli, nazwał ją puszczalską ścierą, również dbając o to, by usłyszało to przynajmniej ze dwadzieścia osób. Podeszła do niego.

– Masz jakiś problem? – spytała pewnym siebie, koczackim tonem, tak po dresiarsku.

Odpowiedział jej szerokim uśmiechem, spoglądając wymownie na kumpli. Powtórzyła pytanie, celowo podchodząc jeszcze bliżej, co najwyraźniej naruszyło jego poczucie wolnej przestrzeni. Odepchnął ją.

– Jak jesteś taki cwany, chodź do parku, co? – zaproponowała. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Tym razem to ona go pchnęła. Poleciał na wciąż chichoczących kumpli. Gdyby nie oni, wprasowałby się w ścianę.

– Chodź – powiedziała.

Wyszła pierwsza, kierując się do parku miejskiego, który sąsiadował z Gimnazjum Gminnym w Baskin Zachodnim. Wraz z nią szły trzy koleżanki.

– Daj spokój, Justa – mówiły.

– Ale że co, naprawdę będziesz się z nim bić?

– Potrzymajcie – odburknęła, podając im plecak.

Stała na trawie i czekała. Do parku wyszedł trzydziestoosobowy tłum spragniony rozrywki. Przewodził mu Tomaszewski. Wciąż się uśmiechał. Inni też się śmiali; część z autentycznym zafascynowaniem spoglądała na Justynę, która wiązała właśnie włosy w koński ogon.

Tłum ustawił się w krąg. Za chwilę wszyscy mieli być świadkami bójki chłopak – dziewczyna, a takiego cyrku nie można przecież za nic przegapić.

Wyszła na środek pierwsza. Tomaszewski zdjął niepewnie plecak, patrząc to na nią, to na kolegów. Wiedział, że połowa z nich chce, by to ona skopała mu tyłek, a druga chce się przekonać, czy jest frajerem bijącym dziewczyny.

– No chodź – powiedziała zachęcająco. Dostrzegła błysk niepewności w jego spojrzeniu. Próbował to zatuszować nonszalanckim uśmiechem. Pokręcił pogardliwie głową i zrobił krok do przodu. W tłumie zapadła cisza.

– I co? – spytał.

– Gówno. No dawaj, uderz.

– Weź przestań.

– No, uderz, cwaniaku. Daję ci fory.

Stanęła w pozycji bojowej, gotowa na atak, choć wiedziała, że go nie sprowokuje. Nie jest aż tak głupi, by uderzyć pierwszy. Patrzy zbyt wiele osób.

– Dawaj, dawaj – zachęcała.

Tomaszewski zacisnął pięść, wziął zamach, celowo unikając jej twarzy. Zrobiła spóźniony unik, a on, ku uciesze innych, zaczął się z niej śmiać. Słyszała odgłosy zachęt, rad, gdzie najpierw uderzyć. Jasińska, w jaja, w jaja go!

Przestał się śmiać, wciąż nie spuszczać z niej pełnego pogardy wzroku.

– Idź znowu dać komuś dupy, może wtedy ochłonesz – rzekł, splunął jej pod nogi i odwrócił się, kierując w stronę plecaka. – Szmato.

Nie powinna tego robić, wiedziała o tym dobrze, ale po prostu nie wytrzymała. Mogła znieść wiele, o wiele więcej niż ją podejrzewano, ale tego nie dała rady przetrwać. Żaden szesnastoletni rudy koniobijca nie będzie mówił o niej i do niej w taki sposób. Rzuciła mu się na plecy.

Krzyki eksplodowały, były dla niej tłem, dopingującą muzyką. Zawiesiła się na nim, drapiąc twarz i bijąc pięścią w tył głowy. Zaskoczony Tomaszewski zrzucił ją z siebie, natychmiast otrzymując dwa ciosy – w nos i w przednie zęby. Złapała go za krótkie, rude włosy, próbując ściągnąć do parteru, by kopnąć kolanem w twarz. Prawie jej się udało, ale uwolnił się jednym, szybkim szarpnięciem. Ponownie ruszyła do ataku. Tłum skandował. Tomaszewski chwycił ją za rękę, wykręcił do tyłu, szybko złapał jej głowę pod pachę

jak zawodowy zapaśnik, po czym drugą, wolną ręką zaczął uderzać jej twarz hakiem.

Ciosy były ślamazarne, bolało ją, ale nie tak, jak się spodziewała. Przeżywała gorsze bóle. Wyrwała się, tracąc równowagę. Poleciałaby do tyłu, gdyby nie wpadła na tłum, który zaraz wypchnął ją w stronę Tomaszewskiego. Zaskoczona, nie zdołała uniknąć zdecydowanego, mocnego uderzenia w brzuch.

Wszyscy, którzy to widzieli, wiedzieli, że to koniec.

Justyna padła na kolana, kuląc się z bólu. Czuła przewracające się bebechy. Żołądek kurczył się i rozszerzał. Uderzenie odebrało jej oddech, o który walczyła teraz wszystkimi siłami.

– Ja pierdołę, co to? – usłyszała Marcina Witczaka. Ujrzała przed sobą jego zdziwioną twarz. Kucnął przy niej, obejmując ramieniem. Tłum zamilkł. – Justa, co jest, kurwa?

– Ej, kolego, sama zaczęła – powiedział Tomaszewski.

Zobaczyła jeszcze, jak Marcin, jej chłopak, podchodzi do niego i kilkoma szybkimi uderzeniami powala go na łopatki, jednocześnie myśląc, że nie powinna wdawać się w tę bójkę.

Nie powinna, ponieważ była w ciąży.

3.

Andrzej Jasiński

Ciężkie to czasy dla prawdziwych mężczyzn. W tej cudownej krainie wyidealizowanych wspomnień, którą wszyscy nazywają Kiedyś, prawdziwi mężczyźni nie mieli tylu problemów. Zwłaszcza w domu.

Andrzej Jasiński obudził się dzisiaj na potwornym kacu. Wczorajsze popołudnie spędził pod sklepem, gdzie wypił kilka piw. W domu był po dziewiątej – za późno, by wracać do sklepu, zbyt wcześnie, by się położyć. Obiecał sobie więcej nie próbować tego pędzonego w piwnicy gówna, które zmajstrował z bratem kilka miesięcy temu, ale cóż poradzić, gdy przyjemny szmer pod czachą to za mało. Zwłaszcza jeżeli mowa tu o prawdziwych mężczyznach. Wypił trzy szklanki w niecałą minutę. Po kwadransie wyrzygał wszystko, a po trzydziestu minutach walki z efektem helikoptera w łóżku spał twardo jak granit. Nad ranem, jak to zwykle bywa z takim snem, budziło go byle co. Ćwierkanie ptaków, łażenie dzieciaków po domu, telewizor z salonu. Wszystko potęgowało i tak już monstrualny ból głowy. Zawsze się tak czuł po tym bimbrze. Jakby wsadził łeb w imadło.

Wygramolił się spod kołdry w objęcia chłodu. Już to go wkurwiło. Nie wiedział, w jakim królestwie jego żona się wychowywała i gówno go to obchodziło, ale choć ten jeden raz mogłaby ruszyć swoją bladą dupę i napalić w piecu.

Zszedł do kuchni w podkoszulku, majtkach i skarpetkach. Po otworzeniu lodówki stwierdził, że jej zawartość kończy się na maśle, wypitym do połowy mleku, resztkach wczorajszego obiadu i ketchupu. Nic do jedzenia dla prawdziwego mężczyzny. Z pokoju dobiegał irytujący dźwięk jakiejś kreskówki. Chciał coś zjeść, a nie było co. Napiłby się, ale nie było czego – chyba że miałby smaka na kranówkę naszpikowaną kamieniem. Ubrałby się w coś, co nie śmierdziało, ale ta niechlujna dziwka nie pofatygowała się nawet z praniem. Położyłby się, by w ciszy i spokoju przespać kaca, ale nie miał gdzie, bo telewizor huczał na cały dom.

– Ściszcie to gówno! – krzyknął. Po chwili dźwięk ucichł całkowicie. Alleluja.

Wreszcie do kuchni weszła ona. Jego kochana żona. Miała minę jak kot srający na pustyni, nie wiedziała, jak się zachować. Za nią podążał Michał, tupając gołymi stópkami o podłogę i to także go denerwowało.

Denerwowało go wszystko, jeśli chodzi o ścisłość.

– Zamiast tak stać, wasza wysokość, może zrobiłaś coś, kurwa, do jedzenia – zasugerował.

I wtedy się zaczęło.

Nie dość, że odmówiła wykonania tej prostej czynności, to jeszcze zaczęła się stawiać. Że nie ma z czego zrobić śniadania dla Kryspina, że Justyna już wyszła bez niczego, że Michał zaraz będzie jęczał. To mu się nie spodobało. Nie po to tyra na budowie u tego pieprzonego terrorysty, który od pół roku nie chce mu podnieść stawki za godzinę, żeby teraz dowiadywać się, że nie ma dla niego kromki chleba. W jego wła-

snym domu. No, dla mnie i dla dzieciaków – dodał wspaniałomyślnie.

Co było bardziej wkurwiające, ta pipa zaczęła mówić podniesionym głosem. Zadawała nedorzeczne pytania. Gdzie się wczoraj szlajał, dlaczego znowu przepił zaliczkę i w związku z tym, jak sądzi, z czego ona ma przygotować cokolwiek do jedzenia. Wystrzeżliła tym w niego o kilka decybeli za głośno, a wystarczyło, żeby choć raz, ten jeden, jedyny pieprzony raz dała mu spokój. To jasne jak słońce, że mogło mu się to nie spodobać. I nie spodobało. W ten sposób w niecałe dwie minuty od ich spotkania wywiązała się szarpalina.

Nie chciał jej bić.

No dobra, chciał, ale nie tak mocno, żeby poleciała na kuchenkę. Ale co innego mógł zrobić? Pizda się stawiała, histeryzowała i okładała poczuciem winy jak maczugą. Przypomniawszy sobie, że w szafce z przyprawami zwykła trzymać kilka zaskórniaków. Wtedy znowu zaczęła się drzeć. Stało się jednak coś gorszego. Choćby żył i tysiąc lat, nigdy by nie uwierzył, że jego żona kiedykolwiek będzie wrywać mu z ręki jego ciężko utrypane pieniądze. To w połączeniu z poprzednimi przykrościami przesądziło o wszystkim. Uderzył ją, tym razem porządnie, tak po męsku, aż odbiła się od ściany. Ostygła dopiero wtedy, chociaż w tej chwili nie miałby nic przeciwko temu, by się podniosła i stawiała nadal – miałby wtedy pretekst, by połamać jej nos. Jednak jak na złość siedziała już cicho pod ścianą.

Pomyślał o Kryspinie. Gówniarz z pewnością przekrobał coś, za co należała mu się lekcja od prawdziwego mężczyzny. Szybko przetasował pamięć, nie znajdując jednak niczego konkretnego. Nie to, żeby ostatecznie była to jakaś przeszkoda, mógł wbić mu pięściami trochę rozumu bez konkretnego powodu, ale dał sobie spokój.

Zlokalizował w miarę czyste spodnie, buty i kurtkę, która także leżała na podłodze. Przez chwilę zastanawiał się, czy powinien wrócić do kuchni i dać swojej żonie przyspieszony kurs sprzątanania.

Jeszcze będzie okazja.

Do Baskin miał kawałek drogi. W Baskin jest sklep, dużo sklepów z piwem. Zje coś szybkiego na śniadanie i pozbawi się kaca kilkoma szybkimi puszkami. Potem wróci do żony.

Kiedy Kryspin wychodził do szkoły, a Justyna w tym samym czasie dostawała łomot w parku, on właśnie schodził ze wzgórza.

Nie ma co, jego piętrowy dom, którego lata świetności przypadały gdzieś w okolicach obalenia III Rzeszy, był położony w pięknym miejscu. Stojąc przed ganikiem, miało się widok na całe Baskin. Wzgórze opadało łagodnie, a u jego stóp, jakiś kilometr od domu Jasińskich, znajdowały się działki, na których Andrzej niejednokrotnie obalał ze znajomymi wina. Tuż obok nich było małe bajorko ze starym, spróchniałym postumentem. Dalej zaczynały się już domki jednorodzinne.

Za domem ciągnęły się kolejne wzgórza, mniejsze i większe. Dalej był już tylko las.

Październik rozciągnął nad niebem chmury, które od kilku dni nie odsłaniały słońca. Zamiast tego od czasu do czasu siały delikatnym, zimnym deszczem. Idealna pogoda na samobójstwo.

Trzydziestosześcioletni Andrzej Jasiński schodził wzgórzem w kierunku miasta. Mógłby iść polną dróżką, która wychodziła na drogę wjazdową do Baskin, ale musiałby nadłożyć co najmniej dwa kilometry. Na to zaś nie mógł sobie pozwolić – prawdziwi mężczyźni nie lubią marnować czasu.

– Tak jest – pomyślał – ciężkie to czasy. Dzieciaki chodzą do szkoły głodne, zasiłek przychodzi raz na miesiąc i to w takiej kwocie, że śmiech na sali, brak dobrej, odpowiedniej dla prawdziwego mężczyzny pracy, dziurawe buty, mokre nogi. Chujowo. No i oczywiście kobiety, którym trzeba przypominać, gdzie jest ich miejsce.

Panie Boże, który gładzisz grzechy świata, to naprawdę ciężkie czasy.

4.

Marcin Witczak

Czekał na tyłach gimnazjum, rozmasowując obołątą dłoń. Ja jebię, ale boli. Przypuszczał, że uszkodził sobie knykcie, ale skoro mógł ruszać palcami, nie było chyba tak źle.

Zaraz po tym, jak Marcin Witczak znokautował Rafała Tomaszewskiego, przybiegła nauczycielka. Rychno w czas. Pojawiła się znikąd, jak to nauczyciele mają w zwyczaju, kończąc całe widowisko. Podbiegła do mamroczącego Tomaszewskiego, upewniła się, że żyje, po czym skierowała swój gniew na Witczaka. Chciała być groźna. Witczak przypuszczał, że uruchomiła najgroźniejszą wersję samej siebie, Panią Złą Nauczycielkę. Zdawała się kompletnie nie przejmować faktem, że Witczak miał dziewiętnaście lat, epizod gimnazjum dawno za sobą i w związku z tym mogła mu naskoczyć z obunóż i potrójnym piruetem. Tłum zdążył się rozproszyć, Justyna zaczęła krzyczeć, że to nią belferka powinna się zainteresować.

– A ty marsz do gabinetu, natychmiast – warknęła do dziewczyny. Jej złość nie działała na Witczaka, ale na Justynę owszem. Wciąż trzymając się za brzuch, odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę szkoły.

– Bądź na tyłach za pół godziny – zdążyła szepnąć do chłopaka.

– Ale już! – rzuciła nauczycielka. Zwróciła się raz jeszcze do Witczaka, grożąc mu więzieniem, policją i sądem, dokładnie w tej nielogicznej kolejności.

Uśmiechnął się lekceważąco, rzucił na do widzenia, że ten oto pajac sam na to zasłużył.

– Nie pokazuj się tu więcej – warknęła w jego stronę przedstawicielka ciała pedagogicznego.

Witczak wzruszył ramionami, prychnął ostentacyjnie. Gdy nauczycielka wróciła do szkoły z wciąż lekko zamroczonym Tomaszewskim, poszedł na tylny dziedziniec budynku gimnazjum.

Czuł każdy knykięć przy zaciśnięciu pięści, ale to nic. Powtarzał sobie, że warto było wpieprzyć temu typkowi, nawet jeżeli ma mieć przez to jakieś nieprzyjemności. Byłyby nie pierwsze i pewnie nie ostatnie, trudno, takie rzeczy się zdarzają. Poza tym była ona. Justyna Jasińska.

Nie miał wątpliwości, że nie warto wiązać z nią nadziei na coś dłuższego, poważniejszego, na tak zwany związek, ale jeżeli chodziło o geometrię jej ciała, była dla niego ideałem. Okrągły, trochę przyduży, ale jędrny tyłek. Wiedział, bo kilkakrotnie miał okazję go głaskać. Biodra jak po porodzie, talia nie za szczupła, ale nieocierająca się o określenie „gruba”. No i te cycki – też nie rekordowych rozmiarów, ale z tego, co zdołał zapamiętać, miękkość i smak ich wentylków usztywniały jego fiuta tak szybko, że mógłby nim wybić sobie zęby.

Marcin Witczak był na nią napalony, pragnął jej jak buhaj. Już raz ją miał, ale to się nie liczyło.

Wyprostował pięść i znów zacisnął kilka razy. Bolało, ale złamania z pewnością nie było. Zapalił papierosa.

Domówka, na której się poznali, odbyła się jakieś trzy miesiące temu. Nie pamiętał, kiedy dokładnie. Właściwie to nie pamiętał prawie niczego. Zjawiło się kilkadziesiąt osób, z czego połowę widział pierwszy raz na oczy. Muzyka napierdałała na maksa, jointy wędrowały z rąk do rąk, piwo lało się jak woda z kranu i kiedy był jeszcze na tyle trzeźwy, by zdać sobie z tego sprawę, ucieszył się, że impreza nie jest u niego na chacie.

Justyna przysłała ze swoimi kumpelami, jakimiś trzema wypucowanymi lafiryndami w typie, którego nienawdził. Wiecznie żujące gumę krowy, ubrane w karykaturalne, absolutnie nieseksowne ciuszki. Udające boginie seksu grzeczne dziewczynki po utracie rodzicielskiego dozoru, niepotrafiące nawet porządnie zrobić laski.

Już na wejściu zderzyły się ich spojrzenia. Ten typ spojrzenia, co siedzi w głowie i sprawia, że wraz ze wzrostem promili szuka się go coraz częściej. Podszedł do niej po kilku piwach i kolejkach rozlewanej w kuchni whisky. Ona również była już trzepnięta, co znacznie ułatwiło kontakt. Coś z tego będzie, myślał wtedy, dziękując opatrności, że wziął ze sobą gumy. Niedługo po północy, gdy impreza znajdowała się już poza fazą kontroli, lizał się z nią na schodach do piwnicy. Przycisnął ją do ściany, miętosząc na przemian cucky i tyłek. Chciał włożyć rękę w krocze, ale spodnie były zbyt ciasne.

- Co robisz? – spytała. Jej oddech śmierdział wodą.
- Myślałem, że... że no wiesz.
- Muszę się przewietrzyć.

Zostawiła go z tymi słowami i gorzkim rozczarowaniem.

Wrócił do kumpli, którym jeszcze nie zdążył się pochwalić, że ma okazję na bzykanie. I bardzo dobrze, bo teraz, gdy został z parą obolałych jaj, darliby z niego łacha.

Wypił jeszcze dwa piwa, czując jak przekracza próg, za którym zaczynało się robić bardziej niedobrze niż dobrze. Organizm już protestował, wywołując w głowie kołowrotek zapowiadający poranne twarzą w twarz z kibelem. Wszedł na balkon zapalić. Nikogo nie było i alleluja, bo już po drugim machu rzygnął za balustradę całą zawartością żołądka.

Impreza zaczęła przypominać rykowisko. Wszędzie leżeli nachlani, nieprzytomni ludzie: na sofach, fotelach, dywanie, na schodach, w łazience dwie dziewczyny spały w wannie, tuż obok jakiś chłopak, którego Witczak kojarzył z widzenia, tulił się z kibelem. Ci, którzy jeszcze nie lewitowali w oparach upicia, powoli zbierali się do domów, on natomiast wszedł do małego pokoju z łóżkiem i meblościanką.

Nie waliło rzygami, uznał zatem, że można tu bezpiecznie usnąć. Jak tylko się położył, w głowie włączyło się wirowanie. Ja jebię, zaraz się zacznie. Znowu haft. Wtedy poczuł, że obok niego ktoś się rusza. Zmrużył oczy, starając się utrzymać obraz w jednej pozycji; dostrzegł budzącą się Justynę.

– O, cześć – wybełkotał.

Justyna bez słowa wpiła się w jego usta. Poczuł, jakby tak właśnie miało być. Wsunął rękę pod jej bluzkę, drugą w spodnie, czując tę gładkość pośladków, ten miękki pobudzacz krocza. Tym razem nie musiał próbować tego, co na schodach. Sama rozpięta spodnie jednym szybkim ruchem, zsunęła je: widział kontury jej łydek, ud i bioder, jej ciemnoczerwone majtki, które zdjął już bez problemu. Jego ruchy były gwałtowne, nerwowe, obudzone nadchodzącym seksem emocje rozpuściły nieco stan nawalenia. To się naprawdę stanie, o matko, ja jebię, zaraz będę uprawiał seks! Sam ledwo zdążył rozpiąć rozpiorek, kiedy chwyciła go swoją delikatną, miękką dłonią i przysunęła do siebie.

Po sześciu minutach sapania, skrzypienia łóżka i spazmatycznych podrygiwań kołdry było już po wszystkim.

Nad ranem z tych kilku minut pamiętał co najwyżej jedną; pamiętał też kształt jej bioder, miękkość pośladków, które ścisnął mocniej i mocniej, zanim skończył w środku i przegramolił się na drugą stronę łóżka. Pamiętał jej rozpalony oddech, jej paznokcie na swoich plecach, gdy dochodziła. Tylko tyle i aż tyle.

Spotkali się kilka dni później i tak już zostało – przynajmniej na jakiś czas. Z każdym spotkaniem rosło w nim uczucie niedosytu, kiedy znowu będzie mógł ją zaliczyć, tym razem na trzeźwo, tak na sto procent, bo tamto z każdym kolejnym dniem liczyło się coraz mniej.

Dopalił papierosa do filtra, zdeptał go adidasem. Zza budynku szkoły wyszła grupa gówniarzy, ale widząc Witczaka, cofnęli się.

– Nie ma palenia, leszcze.

Pamiętał też dobrze, że nad ranem stan prezerwatyw w jego portfelu nie uległ zmianie. A to znaczyło, że dymał ją bez gumy. Niby nie czuł strachu, nie wierzył, że mógłby być takim pechowcem, co wtapia za pierwszym razem, to nie w jego stylu, mimo to czasami odzywała się w nim mała nerwówka.

Minęło parę tygodni, Justyna nie przyszła do niego z dobrą nowiną, uznał zatem, że szczęście ciągle mu sprzyja.

Często odtwarzał w pamięci to, co zaszło wtedy między nimi. Przywoływał w myślach jej jęk, jej gorące krocze, żałując, och, tak bardzo żałując, że był wtedy tak nawalony. Im częściej o tym myślał, tym bardziej był na nią napalony; chciał jeszcze raz, pragnął mieć ją na sobie, pod sobą, z boku, z jednej, z drugiej strony, od przodu, od tyłu i odwrotnie. Podczas tych spotkań dawała mu się dotykać, gdy miała lepszy humor, czasami też dotykała jego, zwodząc go obietnicami, że nie długo, bo jeszcze nie jest gotowa. Osobiście nie miał wątpliwości, że do tego dojdzie, prędzej czy później całe to spotkanie się, odwożenie ją pod dom, wypadki do kina i na kebaby, całe to budowanie makiety związku się opłaci. Dojdzie do tego, o tak, na pewno.

Tylko ile, kurwa, można czekać?

Justyna wyszła zza budynku szkoły. Nawet z tej odległości mógł dostrzec niezadowolenie na jej twarzy.

Coś było nie tak i raczej nie chodziło o kilka bomb, które przyjęła od Tomaszewskiego. Nie było nawet śladów. Poza tym z tego, co Witczak słyszał, wynikało, że szanowny pan Jasiński wielokrotnie używał swoich pięści wobec całej rodziny; pewnie do tego przywykła. Laski, które co najwyżej dostały liścia od matki za alkoholowy wyziew, nie idą na pięści z chłopakiem.

– Wszystko gra? – spytał.

– Nie, kurwa – warknęła. – Nic nie gra.

Jęknął w duchu. Chciał ją przelecieć, jego mokre sny mu świadkiem, ale nie znosił, gdy mówiono do niego takim tonem.

Podał jej papierosa. Zapaliła, opierając się o mur.

– Komu powiedziałaś, że spaliśmy ze sobą?

Ups. Tego się nie spodziewał.

– Nikomu – skłamał. Wiedziało o tym kilku jego ziomków, ale nie sądził, by mogli podać tę informację dalej.

– Komu?

– Justyna, naprawdę, nikomu nic nie mówiłem. Po co miałbym komukolwiek o tym mówić?

Nawet w jego uszach zabrzmiało to śmiesznie, ale nie potrafił na szybko wymyślić lepszego sposobu na wyjście z sytuacji.

Justyna paliła w milczeniu. To dobrze, bo mógł grać na zwłokę, wymyślić kolejne teksty, które ją ugłaskają.

– Jak się czujesz, Justa? Co się tam stało w parku?

– Tomaszewski. Wiesz, dlaczego się z nim pobijałam? Bo powiedział, żebym znowu poszła dać komuś dupy.

– Rety, to tylko takie gadanie, przecież wiesz.

– Tak?

– No tak.

Co miał jej powiedzieć? Że faceci zawsze używają takich tekstów, jeżeli chcą dokopać dziewczynie i akurat nie mają nic lepszego na podorędziu? A już zwłaszcza gdy mają do czynienia z dziewczyną, której reputacja raczej nie jest, mówiąc dyplomatycznie, olśniewająco biała? Jezu Chryste, wyzywanie od szmat, puszczałskich i kurew to pierwsze, po co sięgasz, jeżeli chcesz dosrać lasce.

– Justa, każdy mógłby tak powiedzieć.

– Każdy?

– No tak.

– Dlaczego?

Zastanowił się, czy naprawdę nie zdawała sobie z tego sprawy.

Mieszka przecież w Baskin, w dodatku na jego obrzeżach, czyli praktycznie na końcówce końca świata. Jej ojciec doi tanie winiacze pod każdym sklepem, gdzie dostanie je na krechę. Ona sama zadawała się z różnymi typami. Jej młodszy brat, Krystian, Karol czy jakoś tak, chodzi ubrany jak w worek po ziemniakach. To jasne, że się puszcza; każda biedna dziewczyna się puszcza. Tak się mówi.

Otworzył usta, by to powiedzieć, ale odpowiednio szybko ugryzł się w język.

– No? – naciskała. – Wytłumacz mi.

– Ja jebię, Justa, chłopaki tak mówią do dziewczyn. I tyle.

Patrzyła na niego. Wiedział, a przynajmniej tak mu się wydawało, że ona się domyśliła, co on miał na myśli.

Podszedł, obejmując ją w talii.

– Skarbie, nie powiedziałem o nas, o tej imprezie, nikomu. Przysięgam. Ten gówniarz powiedział to, bo tak najłatwiej. – Sam dziwił się, jak dobrze idzie mu udawanie przekonującego tonu. Tak udawać potrafi tylko napalony nastolatek, skuszony perspektywą seksu. – Poza tym naprawdę chciałbym wiedzieć, czy ten chuj nie zrobił ci krzywdy – dodał.

Tak jest! – gratulował sobie w duchu, widząc, jak jej zadziorna mina łagodnieje. Bądź czarujący, obiecuj, bądź jej ostoją, przymilaj się. Mów wszystko, co chce usłyszeć i staraj się, by w to uwierzyła.

Obejmował ją, uciszając wewnętrzny instynkt. Chciał ją przelecieć. Tu i teraz, w swoim samochodzie, obojętnie gdzie. Pragnął jej piersi, miętoliłby je i ssał przez pół godziny. Justyna została upokorzona przez jakiegoś gówniarza na oczach ludzi, niebo zakrywały ponure, szare chmury, było wilgotno i chłodnawo, tu gdzie stali, śmierdziało szczynami, a on i tak myślał tylko o tym, by ją przelecieć.